№ 39. Wilno, dnia 20 Grudnia 1925 r. Rok I.

GWIAZDKA

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

MARJA REUTTÓWNA.

Zwycięstwo Stefka.

Stefek Błaszczuk wyjrzał przez okno i aż wzdragnął się. Ciemno było na dworze tak, że o dwa kroki nic byś nie dojrzał. Śnieg sypał gęsty, a wicher kręcił nim i rzucał w różne strony.

— Och, szepnął, jakże będzie źle iść jutro do szkoły, śnieg sypie i wiatr wieje, a tu prawie trzy kilometry drogi. I wracać wieczorem przez ten ciemny las.

Stefek, jeden z pierwszych uczniów w szkole Krzywickiej, zdolny i pilny, przytem dobry i uczynny kolega, miał tylko jedną wadę. Był bojaźliwym do tchórzowstwa. Bał się sam siedzieć w ciemnej izbie, nie wychylał się z chałupy wieczorem z obawy by jakiego stracha nie ujrzeć, a już najwięcej obawiał się ciemnego, dużego lasu, przez który codziennie trzeba było iść do szkoły. Żartowali z niego chłopcy, wyśmiewały dziewczynki, upominała matka i pani nauczycielka, nic jednak nie pomagało.

Wstydził się i sam tej wady, zapisał się nawet do Żołnierzyków Polski i obiecał Gwiazdce, że zwycięży swe tchórzostwo, ani rusz, jednak tego dokonać nie mógł. Jak tylko wysunął się wieczór z domu i ogarnęły go ciemności, to taki go strach zdejmował, że co prędzej wracał do izby.

I teraz patrząc w okno myślał jak to będzie jutro z tym powrotem ze szkoły. O czwartej już w lesie ciemno, a choć idą kupą, to jednak serce mu zawsze kołacze.

Rozmyślania jego przerwał płacz w sąsiedniej izbie.

— Ach, moja kumo. żaliła się jakaś kobieta do Błaszczukowej, mój Antoś to tak zesłabł, że już i nie zipie. Zamrze mi chyba chłopak bez nijakiego ratunku.

Stefek domyślił się, że płakała Buranowa, matka jego kolegi, Antka, który już od paru tygodni ciężko był chory.

— Doktor, mówiła znowu Buranowa, powiedział odjeżdżając, że jak tylko gorączka spadnie, to trzeba zaraz dawać mu lekarstwo, tamto drugie, bo jak nie będę dawała to on może w parę godzin skonać. A ot gorączka odstępuje, lekarstwo gotowe w aptece w Krzywiczach i niema komu pójść po nie. Z moją chorą nogą nie dowlokę się, byłam i u Kaziuka i u Jandów, prosiłam chłopców by, który skoczył do miasteczka, a żaden dziś iść niechce. Ciemno, mówią, jutro jak rozwidnieje skoczym z chęcią, ale na noc iść przez las, nikt niechce. A toż on może do ranka skonać. I zaniosła się głośnym płaczem. Stefek dłużej słuchać nie mógł. Wbiegł do izby, w której siedziały obie kobiety i zawołał:

— Nie płaczcie ciotko, dajcie mi tylko receptę a pójdę po lekarstwo dla Antka.

— Ty? zawołała matka, pójdziesz nocą przez las? — Od furtki wrócisz.

Stefek jednak zapomniał o strachu. Włożył ciepłą kurtkę, owinął szyję szalikiem i dalej w imię Boże.

Obie kobiety odprowadziły go do wrót, patrząc z zaciekawieniem jak biegł szybko drogą. Tchórzliwość jego znaną była w całej wsi, cóż więc go odmieniło tak w jednej chwili.

Sam Stefek nie umiałby tego wytłumaczyć. Myśl o tem, że Antek może umrzeć dała mu odwagę. Nie szło to tak łatwo. Póki biegł opłotkami przez wieś, było jeszcze jako tako, ale gdy dopadł lasu i zobaczył jak tam ciemno, a wicher zawył przeraźliwie, zaskrzypiały gałęzie drzew, ogarnął go taki lęk, aż siódme poty na niego uderzyły.

— Wróć się, wróć, uciekaj co rychlej do domu, wołał jakiś głos, a serce biło tak silnie, że czuł je niemal w gardle.

Nie miał sił opierać się i zawrócił z powrotem. Wicher zawył przeraźliwie porwał śnieg z ziemi zakręcił nim i rzucił w twarz chłopcu. Chłód otrzeźwił go. Przypomniał płacz Buranowej. Jeśli wróci do domu teraz, to Antek z pewnością umrze. On Stefek, swojem tchórzostwem zabije go. Przecież nikt nie kazał mu iść. Sam się wyrwał. Iść trzeba...

Skręcił znowu do lasu i biegł co sił.

Nie słuchał szumu wichru, nie patrzał na ciemne krzaki. Starał się zapomnieć o tem, że w lesie są wilki. Myślał o jednem czy aby zdąży w porę do domu. Czy Antka uratuje

Już ujrzał świecące się ognie w oknach miasteczka, wychodził z lasu na gościniec, gdy naraz z pod drzew wypadło coś wielkiego, czarnego. Skoczył w bok ze strachu, a potem pobiegł co sił przed siebie Zdyszany wpadł do apteki. Podał receptę. Lekarstwo było gotowe.

— Nie boisz się iść przez las w taką wichurę rzekł aptekarz. Zuch z ciebie.

Uśmiechnął się tylko, — gdyby on wiedział — pomyślał, jak ja się bałem, toby mnie zuchem nie nazwał.

Pogonił z powrotem, tym razem już mniej się bał, aż mu się to dziwnem zdało.

Przyniesione lekarstwo pomogło. Antek wyzdrowiał. A Stefka uważano odtąd za najodważniejszego chłopca w Siołku. Żaden strach już go nie przerażał.

Helena Świeżyńska.

Historja Sycylijskiego osiołka.

(Dokończenie).

Czasami, choć rzadziej się to zdarzało, woził nasz osiołek żonę, lub córki swego właściciela.—Wolał te spacery, bo najpierw kobiety były lżejsze, a powtóre, zawinięte w swe białe zasłony, zachowywały się spokojnie i nie biły go piętami, czego kłapouch specjalnie nie lubił.—

Razu jednego, na jakąś rodzinną uroczystość, wybrali się oboje: Arab i jego żona do odległej o kilka kilometrów Gamart. Włoski osiołek, przyzwyczajony do galanterji swych dawnych panów, był przekonany, że będzie niósł kobietę. Jakież było jego zdziwienie, gdy na grzbiecie usadowił mu się Arab, a żona szła cały czas obok po piaszczystej, kamienistej i nierównej drodze.—Włoski osiołek był oburzony. — Ale cóż robić?— co kraj to obyczaj! Po drodze zatrzymali się w ha Marta, gdzie osiołek zawarł po raz pierwszy bliższą znajomość z wielbłądem. — A było to tak. Stali na jakimś placyku w mieście, kobieta przy osiołku,

czekając na męża i pana, który poszedł załatwić jakieś interesy. Patrzy nasz osiołek i widzi dziwne garbate zwierzę, chodzące w kółko, bez przerwy jak nakręcone, wokoło jakiejś dziwnej studni. — Studnia ta ma wielkie koło, na nim pas z poprzyczepianemi do niego glinianemi amforami, zupełnie podobnemi do tych, któremi nasz osiołek wodę ze źródła przywozi. Koło obraca się powoli. — Gliniane naczynia przechylają się i wylewają wodę do koryta by znów na pasie zjechać na dół i wody świeżej naczerpnąć. — A prędko to nie idzie, mogę wam ręczyć. —



Wielbłąd też przez cały Boży dzień w tym kieracie chodzi, by koło nieprzestawało się obracać, a ma zawiązane oczy słomianemi plecionkami, by mu się w głowie nie zakręciło i by nie widział, że go nikt nie pogania. Czemu on się nie zatrzyma? czemu nie odpocznie? pomyślał osiołek. Jak gdyby myśl jego oddziałała, wielbłąd zaczął posuwać się coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie stanął!— Studnia przestała się obracać. — Ucichł hałas klekocącego i skrzypiącego koła. — Ale niedługi był odpoczynek, — Cisza zwróciła uwagę zajętego opodal jakąś pracą Araba. — Podbiegł i dał wielbłądowi kilka silnych uderzeń batem, które biednemu zwierzęciu przypomniały jego obowiązki.

Ruszył kłusa, kołysząc się niezgrabnie na swych długich nogach i podskakując ciężkiego galopa, gdy przechodził koło miejsca, w którem stał jego właściciel. Potem stopniowo wrócił do stępa i znów kręcił się równo i bezmyślnie jak maszyna, a miał przytem w całej swej postaci taki wyraz bólu i tęsknoty, że nasz osiołek uczuł do niego dziwną sympatję i współczucie. — Może odgadł swoją niedaleką już przyszłość. —

Oprócz ludzi nosił nasz osiołek na grzbiecie i przeróżne towary. Wtedy zwykle Said jechał na nim do stacyjki u stóp wzgórza zbudowanej, tam osiołka przywiązywał do drzewa, a sam szedł załatwiać swoje interesy, a że zwykle prędko nie wracał biedne zwierzę miało czas na rozmyślania. — A nie były one wesołe. O! jakże by chciał paradować znowu w swej ślicznej barwnej uprzęży i ciągnąć kolorową carrozz'ę! Tu się nikt o jego strój nie troszczy! Koniom tylko nakładają uprząż bronzowemi ćwiekami i blaszkami nabijaną, z dzwonkami i dziwnym skórzanym garbem na grzbiecie, ale osiołków nikt tu nie stroi. A przytem ten nieszczęsny Said ciągle mu dokucza. O, — wrócił właśnie i naładowuje kosze po brzegi i nad brzegi jakiemiś ciężkiemi paczkami. Było ich dnia tego wyjątkowo dużo i gdy osiołek ruszył wydały mu się nadzwyczaj ciężkie. — A tu Said jakby tego wcale nie brał pod uwagę, bije, wymyśla i pogania. — Tego już było zawiele! — Nasz popielaty przyjaciel nie jest wcale tak głupi jak o nim mówią. — Zdążył już zauważyć, że kosze niczem nie przytroczone, trzymają się tylko o tyle na grzbiecie, o ile są równo naładowane. — Skręca więc w bok z drogi i niby to niechcący zawadza jednym z koszów o drzewo, przyczem jedna paczka się wysypuje. Said schyla się by ją podnieść i załadować, ale tymczasem równowaga się zachwiała, kosz cięższy przeważył i przechylił na prawą stronę, przyczem wyleciały znów dwie czy trzy paczki, a kosze z powrotem w lewą się przechyliły. — Stój! — Stój! — woła Said zrozpaczony. — Ale osiołek ani myśli się zatrzymać, przeciwnie, puszcza galopa pod górę, a kosze, raz puszczone w ruch wahadłowy, przechylają się to na prawo, to w lewo, wysypując przytem i rozsiewając po drodze resztę zawartości. Said zrazu puścił się

w pogoń za osiołkiem, ale nie mogąc go dogonić, wraca jak niepyszny, do swych rozsianych paczek, by przynajmniej towaru nie zgubić. — A osiołek, pozbywszy się ciężaru i zapłaciwszy chłopcu za swoje krzywdy, wraca do domu uradowany. — Shau!—Shau!—oznajmia światu radośnie swój tryumf.— Inne osiołki z Sidi-bu-Said odkrzyknęły mu porozumiewawczo, — a było ich poddostatkiem, boć każdy Arab ma swego kłapoucha. —

Towar się uszkodził. — Coś się tam potłukło, coś zginęło. — I Said dostał porządną burę od ojca. — Ale byłoby się to w końcu na biednym osiołku skrupiło, — bo Said zakradł się z kijem do stajenki i zaczął mu po swojemu sprawiedliwość wymierzać, gdyby nie Daut. Ten nadbiegł usłyszawszy hałas i chwycił za kij. — Zaczęła się między braćmi groźna kłótnia, która wkrótce w bójkę się zamieniła, ale że Daut był młodszy, więc wkrótce Said odniósł przewagę, przewrócił go na ziemię i już miał kijem okładać, gdy osiołek, który się urwał tymczasem, zasłonił swem ciałem swego małego przyjaciela i obrońcę.— Przybrał przytem tak groźną i wyzywającą postawę, obracając się do Saida tylnemi nogami, których kopytka w znaczący, nerwowy sposób się poruszały, że Said wolał się cofnąć. — Próbował osła okrążyć, od jednej i drugiej strony, ale napróżno! — Podsunął się pod żłób i stamtąd chciał za uzdeczkę pochwycić, ale mądre zwierzę zawsze zręcznym i szybkim ruchem zdołało się wykręcić i swe groźne kopytka, gotowe do wierzgania zaprezentować. — Tymczasem i Daut się zerwał i ojciec zwabiony hałasem nadchodził, więc Said rad nie rad musiał ustąpić. —

Odtąd jeszcze większa przyjaźń zawiązała się między osiołkiem a Dautem, zwłaszcza, że nadeszły wakacje, chłopiec mając więcej czasu wolnego, więcej na nim jeździł. — Razem zaganiali na pastwisko stadko długogrzywych kóz. — Osiołek chrupał wraz z kozami marną szaro-zieloną trawkę i spieczone suszą zioła, któremi porastały nadmorskie wydmy, a Daut tymczasem wygrzewał się na piasku, zbierał muszle, lub się chłodził w szafirowych falach morza. — Czasami woził chłopiec na grzbiecie osiołka kilkoletniego braciszka, śmiesznego, pucułowa-

tego malca, któremu przy ruchu osła zaduży fez zsuwał się na nos i oczy zasłaniał, co nie przeszkadzało mu być uszczęśliwionym z przejażdżki. — Czasami, ale to bardzo rzadko, gdy ojca nie było w domu, robili z Dautem wielką wyprawę, aż hen nad słone jeziora, nad ową płytką zatokę. — Chłopiec zakładał tam sidła na ptaki i nieraz złowił derkacza, lub małą czarną kaczkę, których się tam wiele plątało. Brodził po wodzie i zarzucał z ogromną zręcznością małą ręczną siatkę na ryby. — Wyszukiwał wśród skał jakieś jadalne ślimaki i skorupiaki, tak iż zwykle z koszem pełnym zdobyczy wracali do domu. — A co się przytem napatrzyli ptactwa! — pod wieczór zlatywały na jezioro olbrzymie stada czerwonaków, które wyglądały na tle błękitnej wody, jak obłoki płonące różowym blaskiem w łunach zachodu. — Poważne czaple, strojne kitami swych pióropuszy, stały spokojne i nieruchome, a niezliczone mewy swym śmigłym lotem, przeszywały co chwila powietrze, — by spuścić się nagle nad toń spokojną i znów wzlecieć w górę, ale już ze zdobyczą.—

Wracali wolno, zmęczeni lecz zadowoleni, wśród sadów oliwnych i migdałowych, wśród pól i winnic, — otoczonych kolczastym żywopłotem z kaktusów i agaw. — Mijali białe płaskie domki bez dachów—i ludzi w barwnych strojach i czerwonych fezach lub białych turbanach na głowie. — Osiołek powoli przyzwyczaił się do nowego kraju, ludzi i życia. — I byłby zupełnie zadowolony ze swego losu, zwłaszcza, że Said gdzieś do miasta powędrował, i opieka nad osiołkiem wyłącznie Dautowi została powierzona, ale czekała go nowa nieprzyjemna zmiana.— Gdy na stare lata zaczął się coraz częściej potykać i już do konnej jazdy stawał się niezdolny sprzedano go do ha-Marsa, gdzie o kilkaset kroków od wielbłąda kręcił drugą podobną studnię! —

Mijały dnie, tygodnie i miesiące.—Grzało ich słońce, siekły wiatry, moczył deszcz, a oni chodzili zadumani. — Wielki garbaty wielbłąd, tęskniący do złotych piasków bezbrzeżnej pustyni—i mały osiołek z Palermo—tęskniący do stromych gór, bogatej zieleni swojego kraju, a przedewszystkiem do swej cudnej carrozz'y sicilian'y—i kolorowej uprzęży!

Jednego słonecznego ranka, zatrzymał się przed trzeszczącą studnią młody człowiek o wyrazistych rysach, czarnych oczach i wybitnym typie Włocha, południowca. — Zatrzymał się, zdziwiony tym oryginalnym sposobem dobywania wody, ale gdy się przyjrzał zwierzęciu, poruszającemu studnię, twarz jego przybrała wyraz jeszcze większego zdumienia.—„Jakiż on podobny do naszego osiołka! Dio mio!*) toż to Carrissime!“ wykrzyknął. — Jakoż był to carissime, ta sama plamka na czole, ten sam wzrost, ale co najważniejsze ta sama, w kształt litery *T* wycięta, blizna na łopatce od owego pamiętnego wypadku, kiedy to pomimo zakazu ojca sam Giacomo puścił się na spacer w góry i spadł wraz z osiołkiem i carrozz'ą ze stromego zbocza wąwozu. Carrozza się rozbiła, Giacomo złamał obojczyk, a osiołek pokaleczył się, z czego wprawdzie wyleczyli się wszystko troje, ale osiołkowi została na łopatce wyraźna blizna i oto rysowała się ona teraz wyraźnie przed zdumionym wzrokiem Giacoma. „A tyś tu jak zawędrował? tu za morzem, w obcym kraju, spotkać towarzysza lat dziecinnych, to ci niespodzianka“— rzekł i poklepał po łbie biedne zwierzę, które już dawno odzwyczajone od pieszczot zatrzymało się i przyglądało przybyszowi smutnym zmęczonym wzrokiem. —“ Nie! nie zostawię cię tu, przyjacielu z lat dziecinnych! Obiecałem przy rozstaniu, że cię odkupię, a Giacomo zawsze dotrzymuje słowa.“ — I rzeczywiście Giacomo odkupił osiołka, który już do końca swych dni przebywał w domu swego pana i towarzysza lat młodzieńczych. — A że ten został na stałe w Tunisie i tu się ożenił i osiedlił, więc osiołek na starość w małym wózeczku, na wzór carroz'y zrobionym, woził jego dzieci na spacery. — Pieszczony, karmiony i strojny, jak za swych młodych lat, w barwny pióropusz, biegał dumny i uradowany. — I gdyby nie to, że był tak malutki, spoglądał by z góry na spotkane na drodze bronzowe osiołki tutejsze, taki dumny był ze swego pochodzenia i ze swego pióropusza ten mały szary osiołek z Palermo. —

Koniec.

*) Boże mój!